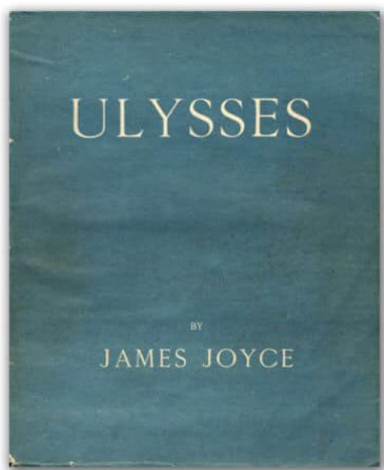


James Joyce „Ulisses”

Kiedy się to zaczęło? Musiałem być nastolatkiem, młodszym od Stefana Dedalusa, gdy w przepastnej bibliotece mojego wuja wygrzebałem egzemplarz w charakterystycznej błękitnej okładce.



Być może wiedziałem już wówczas, że idzie o jedną z tych książek nie do przeczytania, książkę-legendę, która w schyłkowym PRL uchodziła wciąż za kwintesencję światowej literatury, powieść-wyzwanie. Podjąłem je, pożyczyłem i przeczytałem podczas dłuższych wakacji. Czy coś rozumiałem? Nie wiem. Z tamtego czasu zostały mi tylko odległe reminiscencje i strzępy wspomnień, gąszcz akapitów i stylów literackich, ale przypuszczalnie rozumiałem niewiele. Na pewno nie wiedziałem, że po raz pierwszy ukazała się w mieście, w którym właśnie mieszkam i jest jednym z kamieni milowych odległej literackiej epoki.

Kilka lat później zabrałem się za nią jeszcze raz. Wymemłany egzemplarz leżał w plecaku, towarzyszył mi na promie z Cypru do Hajfy i w drodze powrotnej, gdzie podczytywałem go między innymi zajęciami, chyba już świadom, że losy dublińskiego Żyda Leopolda Blooma, który szukał i nie mógł znaleźć swojego miejsca na świecie, staną się na wiele lat lustrem, w którym będę przyglądał się samemu sobie.

Nieco później, w Londynie, odkryłem komentarze. „Ulisses” okazał się powieścią-kłęczem, moją własną świecką Torą, która obrastała w znaczenia i sensy, pęczniała i rosła jak świat. Miał swoich kapłanów i heretyków, rabinów i mistyków, oddanych wielbicieli i zdeklarowanych wrogów, komentatorów i prześmiewców, badaczy, kodyfikatorów i świrów. Nie było drugiej takiej książki i nim to na dobre pojąłem – ona sama zaczęła tłumaczyć moje kroki. Przegoniłem wiekiem Dedalusa, prześcignąłem Blooma, ślęczałem nad „Ulissesem” miesiącami, zrobiłem doktorat, napisałem dwie książki, prowadziłem seminaria i świętowałem Bloomsday na dwóch kontynentach.

Gdy po raz pierwszy pojechałem do Dublina, chodziłem po mieście bez mapy, mając w głowie jego topografię i wiedząc, że duch Joyce'a jest ze mną cokolwiek się zdarzy. I był tam i także potem, w różnych, zazwyczaj przyjemnych sytuacjach, gdy spotkałem ludzi, na których on też rzucił urok, a którzy odnajdują w korzeniu własnej duszy coś, co każe im co i rusz wracać do historii Bloomów i Dedalusa i próbują zrozumieć hipnotyczny wpływ, jaki na nich wywiera. Od pierwszych słów Stefana na otoczonej oceanem wieży Martello, przez monologi Leopolda, lodowaty matematyczny katechizm obcego narratora, ujawniający całą groźbę dzieła stworzenia, po nocne, miłosne wyznanie Molly, będące afirmacją życia w jego niezliczonych przejawach. Potem zacząłem się „Ulissesem” cieszyć. Przystał być wyzwaniem i Księgą, stał się przyjemnością. Kłębowiskiem zdań, liter, gier słownych, dowcipów, asonansów i melodii. Tkaniną dźwięków, nieskończonością języka. Radosną zabawą w literaturę i czytanie. A może w życie?

Piotr Paziński

(Tekst pochodzi z facebooka powieściopisarza, eseisty, wieloletniego redaktora magazynu „Midrasz”).